

1

Swędzenie na policzku stawało się coraz bardziej irytujące. Jednocześnie męczył go potężny, pulsujący ból głowy. Z początku Rick był zbyt śpiący, żeby zareagować. Westchnął ciężko i z zamkniętymi oczami przyłożył dłoń do policzka, by się podrapać. Czując pod palcami ruszające się, włochate stworzenie, natychmiast się wybudził.

– Co jest, do cholery? – Strząsnął to coś nerwowo z twarzy. Przez zmrużone oczy zobaczył zaskakująco dużą osę, leniwie unoszącą się na wysokości jego czoła. Była wielkości pięści. Na chwilę zawisała przy nosie, jakby przyczepiona do niewidzialnego sznurka. Owad wzbudził w nim wstręt swoim gigantycznym rozmiarem, ale najdziwniejsze było to, że Rick miał wrażenie, iż mu się... przygląda? Po kilku sekundach osa ociężale odfrunęła.

Zdał sobie sprawę, że oddycha świeżym, chłodnym powietrzem i leży na ziemi. Usiadł i rozejrzał się oszołomiony. Przed nim rozpościerała się polana otoczona nienaturalnie wysokimi drzewami. Masywne, pobrużdżone pnie gdzieś tam zarastał błękitnoszary mech. Stożki drzew zdawały się przebijać chmury. Ziemia była miękka, pokryta pachnącą i nieco wilgotną trawą.

– Co się dzieje? – wymamrotał, wstając. Wszystko wokół wyglądało jak we śnie, a jednocześnie było tak prawdziwie i namacalne! Wyraźnie słyszał szelest poruszanych delikatnym wiatrem liści i czuł na twarzy ciepło promieni słonecznych przedzierających się przez gęstwinę drzew.

Musi zadzwonić do Moniki. Sięgnął do kieszeni chinosów po telefon. Była pusta, więc nie znalazł w niej też portfela. Coraz bardziej zdenerwowany poklepał się po kieszonkach flanelowej koszuli. Nic. Okradziono go? Kiedy? I co to, do cholery, za otoczenie? Ktoś go porwał? Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, była drewniana ławka, na której leżał, i tafla wody pobłyskująca w świetle księżyca.

– Kurwa mać – syknął zdenerwowany. Czuł imperatyw jakiegoś działania, ale trwał w bezruchu, nieufnie obserwując otoczenie.

W oddali usłyszał kobiecy głos. Na kilka sekund wstrzymał oddech i nasłuchiwał.



Po przebudzeniu Anna potrzebowała chwili, by się zorientować, że leży na mchu w środku lasu. Powoli wstała i poczuła koszmarny ból głowy. Potarła czoło ręką. Obserwowała okolicę, starając się zrozumieć, co się stało – przecież dopiero co była w kawiarni.

– Halo? Jest tu ktoś?!

Poczuła duszności – po części ze zdenerwowania, a po części dlatego, że miała na sobie gruby, robiony na drutach sweter, jeansy i skórzane kozaki – przecież tak naprawdę jest teraz w centrum Bostonu, czyta książkę, pije gorące cappuccino i spogląda na padający za oknem śnieg! Zdjęła sweter i zawiązała go sobie wokół bioder. Spojrzała na zegarek. „Przedziwny sen” – pomyślała i zaczęła iść przed siebie, uważnie spoglądając pod nogi, żeby nie potknąć się o wystające korzenie. Las był bardzo gęsty i ciemny, mienił się wszelkimi odcieniami zieleni.

Tuż za jej głową coś nieprzyjemnie zabrzęczało. Odwróciła się i wrzasnęła, widząc zaskakująco dużego, zawieszonego w powietrzu owada. Ważka? Ale przecież one nie osiągają takich rozmiarów! To prawie pół metra! Odniosła wrażenie, że owad jej się przygląda. Z przerażeniem zamachała ręką, ale ważka ani myślała odfruwać. Uchyliła się i zaraz znów zawisła na wysokości jej czoła.

– Och, no idź stąd! – Anna cofała się w popłochu, jednocześnie usiłując odgonić ważkę. Owad na moment stracił równowagę, ale po chwili błyskawicznie zbliżył się do jej twarzy, jakby grożąc, że jeszcze się z nią policzy, po czym odleciał, a złowrogie bzyczenie ucichło.

Słońce bezlitośnie przeświecało spomiędzy drzew. Co więcej, mimo, że przeszła długi dystans, w ogóle nie zmieniło pozycji. Jak długo trwa tu dzień? I czego chciał ode mnie ten potwór? Nie, analizowanie snów nie ma większego sensu. W nich wszystko może się zdarzyć, nie ma dopuszczalnego limitu abstrakcji.

Obolała i zmęczona, spojrzała na zegarek i z zaskoczeniem stwierdziła, że od momentu, w którym się obudziła, minęło prawie sześć godzin.

– Jak to możliwe? – wyszeptała oszołomiona. Ból głowy minął, ale teraz czuła rosnący atak paniki.

Dlaczego nadal się nie obudziła? Sny przecież kończą się w najbardziej męczących momentach – zapala się wtedy światło, oddycha z ulgą i pije kilka łyków wody. Tymczasem jej serce bije jak szalone, oddech staje się coraz szybszy, łzy nachalnie napływają do oczu, a koszmar wcale się nie kończy!

Oparła się o drzewo, wzięła głęboki oddech i jeszcze raz rozejrzała dokoła, tym razem uważniej. Kilkaset metrów dalej las wydawał się przerzedzać. Czując wstępującą w nią nadzieję, pobiegła w tym kierunku. Ten przeklęty busz musi się gdzieś kończyć! Za nim na pewno pojawi się coś normalnego. Z daleka dostrzegła polanę. Pośrodku stał mężczyzna. Przyspieszyła kroku. Nie była już sama!



– Halo! Hej! – usłyszał Rick.

Ktoś jest między drzewami! Przyłożył dłonie do ust i krzyknął nieco na oślep:

– Gdzie jesteś?! Idź w stronę polany! Widzisz ją?!

– Tak! Zaraz będę! Stój tam, gdzie jesteś!

Chwilę później spomiędzy drzew wybiegła około trzydziestoletnia drobna kobieta o kasztanowych włosach. Wyglądała na przestraszoną, ale jednocześnie szczęśliwą, że go widzi.

– Co za ulga! – Podeszła bliżej. – Chodzę po tym lesie od sześciu godzin; bałam się, że zwariuję – wydyszała.

– Spokojnie. Rick – przedstawił się.

– Anna. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że już nie jestem sama. Co za wariactwo!

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Z Bostonu – odpowiedziała, biorąc głęboki oddech.

– No tak, ale skąd się tutaj wzięłaś? Zabłądziłaś?

– Nie... nie wiem. – Przełknęła ślinę. W gardle czuła coraz większą suchość.

– Ale jesteś tu na campingu? Pod namiotem?

– Campingu? Jakim campingu? Skąd! Pamiętam tylko, że byłam w kawiarni na rogu mojej ulicy, czytałam coś i było tak ciepło, tak błogo, że zasnęłam w fotelu. Obudziłam się w lesie i nie mam pojęcia, co się stało. Na szczęście przynajmniej cały czas świeci słońce; oszalałabym, gdyby się ściemniło. O matko, nie czuję nóg. Szłam bez przerwy, by wydostać się z tego gąszczu. – Położyła się na trawie, zdjęła buty i podciągnęła nogawki spodni do kolan. – A ty jak długo tu jesteś?

– Nie wiem. Może pół godziny, raczej nie dłużej.

– Czyli nie zauważyłeś jeszcze niczego dziwnego, co?

– Poza tym, że obudziłem się w lesie? Zupełnie nic.

– Chodzi mi o słońce. – Anna wskazała na nie ruchem głowy. – O, proszę, jestem tu sześć godzin i dwadzieścia trzy minuty. – Podsunęła Rickowi rękę z zegarkiem. – A ono w ogóle nie zmieniło położenia.

– Co takiego? – Rick uniósł brwi i spojrzał na słońce, osłaniając oczy otwartą dłonią.

– Z początku nawet się z tego cieszyłam, bo bałam się, że mnie w tym cholernym lesie zastanie noc, ale jednak... dziwne, prawda?

– Mogę jeszcze raz spojrzeć na zegarek? – Usiadł obok, złapał ją za lewą rękę i przez chwilę, wyraźnie skonsternowany, studiował tarczę.

– Chyba jest popsuty.

– Jak to? – Anna potrząsnęła zegarkiem.

– Pokazuje datę piętnastego lutego 2013.

– No i?

– Dziś jest trzynasty sierpnia 2001.

– Co ty opowiadasz? Jest 2013, mylisz się o dwanaście lat – odparła rozbawiona.

Patrzył na nią, nie rozumiejąc, co do niego mówi. Przetarł dłonią spocone czoło.

– O rany – wyszeptała – wygląda na to, że pytanie „gdzie jesteśmy” nie jest jedynym, na które musimy odpowiedzieć. „Kiedy jesteśmy” jest równie istotne. – Wstała i strzepała z łydek drażniące skórę żdźbła trawy.

Rick pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Żartujesz sobie ze mnie.

– Zobacz. – Sięgnęła do kieszeni spodni, z której wyjęła niewielki portfel. – To jest moje prawo jazdy. Spójrz na datę wydania.

– Jezu... Dwunasty czerwca 2009 – wyszeptał. Przyjrzał się dokumentowi uważnie, ale nie wydał mu się podejrzany.

– Myślisz, że mam prawo jazdy z przyszłości? Żeby móc jeździć dopiero za kilka lat? – Anna nie kryła sarkazmu.

– Ale to niemożliwe. – Oddał jej dokument.

– Też tak w pierwszej chwili pomyślałam, a... teraz już sama nie wiem. Wszystko tu jest tak realne! Tak namacalne! Czy tak mogą wyglądać sny? – Schowała portfel do kieszeni.

Rick spojrzał na niebo. Słońce w ogóle się nie ruszyło, odkąd się obudził.

– Masz może wodę? Bardzo chce mi się pić – spytała Anna.
– Nie, przykro mi. Mam tylko to, co na sobie.
– Fatalnie. – Westchnęła i oblizała spierzchnięte usta. – Obu-
dziłam się w swetrze i grubych jeansach, a tu jest jakiś cholerny
środek lata.

– To w końcu sierpień – powiedział i zamilkł, bo zdał sobie
sprawę, że dla niej jest luty. – Może znajdziemy jakieś źródło wody?
Gdzieś musi być jakaś ulica, może nawet miasto.

– Czyli co, mamy się stąd ruszyć? – Anna nie była przekonana
do pomysłu.

– Chyba nie ma innego wyjścia.

Wiedziała, że ma rację, ale zupełnie nie miała ochoty na powrót
do lasu.

– Idziemy. – Zrobił kilka kroków naprzód.

– Ale dokąd dokładnie? – spytała zaczepnie, wkładając kozaki.

– Może tam? – Rick wskazał coś, co wyglądało jak ścieżka w gę-
stwinie.

– Dobrze. – Wzruszyła ramionami. – Cieszę się, że przynajmniej
głowa mnie nie boli.

– Ciebie też bolała? – Spojrzał na nią zdumiony.

– Strasznie! Zaraz po przebudzeniu! Myślałam, że wybuchnie!

– Miałem tak samo, ale już przechodzi.

– A ty skąd jesteś? – spytała po chwili.

– Z Nowego Jorku. – Rick zdjął koszulkę i niósł ją w dłoni.

Weszli do lasu, mając nadzieję, że odnajdą w końcu ślady
cywilizacji.



Dan Salinger pętał się po polu zboża nie wiadomo jak długo. Kłosa
kołysały się leniwie, poruszane delikatnym wiatrem, który pomagał
znosić palące słońce. Niebo było zupełnie bezchmurne. Dopie-
ro po wyjściu z lasu na tę patelnię docenił zbawienny cień drzew.

Łaskoczące kłosa pszenicy zaczęły go irytować i w końcu schował ręce do kieszeni.

Ostatnie, co pamiętał, to jego salon i że najpierw wszedł do sypialni, żeby przywitać się z żoną po całym dniu nieobecności. Było późno, Kate leżała w łóżku, ale gdy go zobaczyła, wyłączyła nocną lampkę. Objął ją, a ona zeszytywniała, dając mu do zrozumienia, że nie chce żadnych czułości. Zszedł na dół do salonu, przygotował sobie drinka, włączył telewizor i rozciągnął się na kanapie, żeby poczytać gazety, do których nie miał czasu wcześniej zajrzeć. Zasnął, przeglądając sekcję ekonomiczną.

Obudził się w lesie. Z początku myślał, że to sen, ale teraz, po trwającej pewnie kilka godzin wędrówce, nie był już tego pewien. Oczywiście, tłumaczył sobie, poczucie czasu jest zupełnie inne we śnie, ale mimo wszystko powinien był już się obudzić.

Od pierwszych chwil starał się znaleźć innych ludzi, albo chociaż budkę telefoniczną. Nie miał przy sobie portfela, ale kalkulował, że uda mu się zadzwonić na darmowy numer ratunkowy. Postanowił, że najpierw zatelefonuje na policję, może podwiozą go do domu. Dobry plan, ale jak wyjaśni im, gdzie jest? Skąd by go mieli zabrać?

Las był wyjątkowo gęsty, nigdy jeszcze w takim nie był. Na próżno wypatrywał jakiegokolwiek ścieżki. Uważał, żeby nie potknąć się o wystające korzenie. Miał na sobie te same rzeczy, w których wrócił wieczorem do domu: elegancką sportową marynarkę, koszulę, beżowe sztruksowe spodnie i skórzane buty – strój, który nie był zbyt fortunną opcją do podróżowania po lesie. Jego głowę rozsadał nieznosny ból. Bardzo, ale to bardzo chciał się już obudzić.

Czy w tym lesie *są jakieś zwierzęta*? Wilki, dziki, łosie? Być może już go obserwowały, szykowały się do ataku, czekały tylko, aż straci równowagę i przewróci się o jakiś konar. Myśl o tym motywowała go, by iść dalej.

Nie miał ze sobą zegarka, więc wpadł na pomysł, by obserwować ruch słońca. Przystanął, zadarł głowę w kierunku wierzchołków splełanych drzew. Chciał obliczyć, kiedy zacznie robić się ciemno,

lecz po pewnym czasie uznał, że słońce pozostaje wciąż dokładnie w tym samym miejscu. „Chyba tracę zmysły” – pomyślał.

Drzewa zaczęły się przerzedzać. Pobiegł szybko w kierunku skraju lasu, mając nadzieję, że znajdzie kogoś, kto pomoże mu wrócić do domu albo przynajmniej się obudzić, co – był pewien – znaczyło jedno i to samo. Przed sobą ujrzał sięgające horyzontu pole pszenicy. Pomyślał, że zboże to dobry znak, pole na pewno ktoś uprawiał. Może niedaleko jest jakaś wioska? Pszenica zadziwiała niespotykaną gęstością i wysokością kłosów, które sięgały mu powyżej ramion. Z trudem torował sobie drogę przez zbite łany. Był zmęczony, głodny, spragniony i coraz bardziej zdenerwowany.

Wyłuskał kilka ziaren ze źdźbeł, każde wielkości dużego groszka, ale okazały się niedojrzałe. Zrezygnowany usiadł, żeby odpocząć. Szorstkie kłosa nieprzyjemnie drapały go przez koszulę w plecy. Chyba rozsądniej byłoby wrócić do lasu i tam poszukać jagód czy orzechów laskowych, czegokolwiek, co nadawałoby się do jedzenia. Z przemyśleń wyrwały go niesione wiatrem głosy. Poderwał się, gdy zauważył kobietę i mężczyznę niezdarnie przedzierających się przez łany pszenicy.

– Hej, hej, wy tam! – zawołał, machając rękami. Zaczął iść w ich stronę. Gdy do nich dotarł, nawet nie myślał o podawaniu im ręki, tylko od razu serdecznie ich uściśkał.

– Co za koszmar, Boże drogi! – powiedział uradowany. – Mam na imię Dan. – Dopiero teraz podał im dłoń na przywitanie i wszyscy się sobie przedstawili. – Macie może komórkę? Muszę zadzwonić do żony, pewnie się martwi, bo jestem tu od kilku godzin.

– Chcielibyśmy ci pomóc, ale gdybyśmy je mieli, sami byśmy z nich skorzystali – odparła Anna.

– Dobra, to może macie telefon w domu?

– O czym ty mówisz? – Rick spojrzał na niego z powagą. – My tu nie mieszkamy, nie mamy nawet pojęcia, gdzie jesteście. Zaraz, czyli ty też tu nie mieszkasz? – Chwycił się za głowę w geście rozpaczy.

Przez kilka sekund Dan patrzył na nich w osłupieniu. Liczył na to, że wybuchną śmiechem, ale nic takiego się nie stało.



Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Para twierdziła, że znaleźli się w lesie dokładnie w takich samych okolicznościach jak on. Poczucie ulgi, które dopiero co ogarnęło go na ich widok, doszczętnie wyparowało.

– Czyli nie wiemy ani gdzie jesteśmy, ani jak się tu dostaliśmy, ani jak wrócimy do domu, tak? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Anna.

Dan zaśmiał się nerwowo, po czym dodał:

– Wynośmy się z tego pola, chodzę po tych pieprzonych zbożach już zdecydowanie za długo, szlag mnie zaraz trafi.

– Wydaje mi się, że widzę piaszczystą dróżkę, tam na wprost. – Rick wskazał palcem kierunek. – Jeżeli będziemy szli wzdłuż niej, to może w końcu spotkamy kogoś, kto, przy odrobinie szczęścia, nas podwiezie?

– Tylko dokąd? – odezwał się Dan.

– Nie mam pojęcia, później będziemy się o to martwić.

– Stoimy tu już jakiś czas i nie przejechał tą drogą żaden samochód – powiedziała cicho Anna, nie wiedząc, czy mówi do siebie, czy do nich.

Szli dłuższą chwilę w milczeniu. Rick spojrzał na niebo.

– Która godzina?

– Dochodzi dziewiąta wieczorem, patrzyłam na zegarek kilka minut temu – odparła Anna. – Myślisz o słońcu, prawda?

Rick kiwnął potakująco głową. Świeciło nad nimi w idealnym pionie, ale jeżeli zegarek Anny działał dobrze, to czas faktycznie płynął. Czas tak, ale słońce nie? Jak to w ogóle możliwe?

– „Myślisz o słońcu”? – potwórzył pytająco Dan.

– Jak długo tu jesteś? – odezwała się Anna.

- Pewnie kilka godzin, nie wiem dokładnie, a co?
- Anna jest tu od ośmiu godzin. Ja obudziłem się na łące ze dwie godziny temu. Być może nie zauważyłeś, ale... – zaczął tłumaczyć Rick.
- Ale co? – przerwał mu Dan, czując, że znów zaczyna go dusić strach.
- Słońce w ogóle nie zmieniło położenia. Rozumiesz, osiem godzin i nic, ani drgnęło. Ono nie zachodzi.
- Jaja sobie robicie.
- Jestem tu od trzynastej – odezwała się Anna. – Według mojego zegarka jest już dwudziesta pierwsza, a wszystko wygląda tak, jak wyglądało w południe. Z kiedy jesteś? – zapytała.
- Z Londynu.
- Nie „skąd”, a „z kiedy”?
- Jak to „z kiedy”?
- Jaki jest dziś dzień, Dan? – spytała Anna.
- Siedemnasty maja 2005.
- Zakryła usta i nerwowo parsknęła śmiechem. Rick, który szedł kilka kroków przed nimi, zatrzymał się i odwrócił.
- 2005?
- Tak. Tony Blair został wybrany na kolejną kadencję, Jan Paweł II nie żyje, ludzie czekają na premierę filmu *Batman: Początek*.
- O rany. – Rick westchnął.
- No o co chodzi, do jasnej cholery?! – zapytał niecierpliwie Dan.
- Ja jestem z Nowego Jorku, a koleżanka z Bostonu.
- No i?
- Ja jestem z 2013 roku, a Rick z 2001 – dodała Anna.
- Co to za bzdury?
- Anno, pokaż Danowi swój zegarek.
- Podeszła i wyciągnęła rękę. Dan przyglądał się przez chwilę tarczy i wyświetlanej na niej dacie.
- Pewnie jest popsuty.
- Jest jeszcze jeden dowód. – Pokazała Danowi swoje prawo jazdy.

Brytyjczyk nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzał jeszcze raz to na zegarek, to na dokument, zupełnie nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Co robisz, zanim się tu znalazłeś? – zapytał Rick, gdy znów ruszyli.

– Leżałem w salonie na kanapie, czytałem gazetę... Co tu się dzieje, gdzie my jesteśmy?! – wrzasnął w końcu Dan.

– Wiemy tyle co ty! – Anna się zatrzymała. – Oboje dziś się tu obudziliśmy.

– Razem?

– Nie, spotkałam Ricka, gdy wychodziłam z lasu.

Anna odwiązała sweter z bioder i niosła go w rękę.

– Czemu się tak ciepło ubrałaś? Jest wiosna, a ty wyglądasz, jakbyś szykowała się na lżywy. No chyba że jesteś jedną z tych osób, którym jest wiecznie zimno, jak moja żona.

– Zjawiliśmy się tu z różnych miesięcy. Ja jestem z lutego, i u mnie akurat padał śnieg.

Gdy skończyło się pole pszenicy, przeszli przez pas traw i znaleźli się na szerokiej, piaszczystej drodze. Po jej drugiej stronie znów rozpościerał się las.

– Gdzie my jesteśmy? – Dan westchnął, nie wiedząc, który raz zadaje to pytanie.

– Albo kiedy? – dodał Rick.

Anna i Dan spojrzeli na niego uważnie.

– Jak to? – zapytała.

– No, wszystko jest możliwe. Jesteśmy z różnych miejsc, lat, miesięcy – wyliczał na palcach. – Kto wie jaka data jest tu dzisiaj? Czy to jakiś kompromis pomiędzy wszystkimi datami, czy coś zupełnie innego, na przykład, nie wiem, 2050? A może 1870? Chodzi mi o to, że nie wiadomo ani gdzie, ani kiedy jesteśmy – mówił coraz bardziej nerwowo, splatając dłonie na potylicy. – Możemy być gdziekolwiek i kiedykolwiek.

Milczeli, patrząc przed siebie.

– Przez to kretyńskie słońce nie sposób nawet zdecydować, czy idziemy na wschód, czy na zachód... Mamy wybór: w lewo albo w prawo – odpowiedział Rick, wzruszając ramionami. – Możemy iść tam. – Wskazał na prawo.

– Dlaczego akurat tam? – spytała Anna.

– A dlaczego nie?

Ruszyli ze zrezygnowaniem we wskazanym kierunku.

– Jezu, ono naprawdę się nie rusza. – Dan spojrział w niebo.

– Ale wiecie co? Ja się znacznie bardziej zmartwię, gdy ono w końcu się ruszy – powiedział Rick.

– Jak to? – Brytyjczyk przeniósł wzrok z bezchmurnego nieba na niego.

– Jeżeli dzień trwa tak długo, cholera wie, jak długa może być noc. Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy. Naokoło nas są lasy, a kto wie co po nich chodzi, gdy jest ciemno? – kontynuował Rick.

– Ale co, wampiry? Wilkołaki?

– Niedźwiedzie w zupełności mi wystarczą – odpowiedział Rick, a Dan natychmiast spoważniał. – Jeżeli słońce zacznie zachodzić, to będziemy zmuszeni znaleźć sobie kryjówkę na noc. Nie wyobrażam sobie szwendania się po tej okolicy w ciemnościach.